

Rafał A. Ziemkiewicz

Labirynt

Piątek, 6.00–6.30

Ghart zawsze budził się zapuchnięty i niewyspany. Wyciągał rękę i wyłączał budzik, potem wstawał leniwie z materaca, szedł do kuchni. Stawiał na palniku stary czajnik bez pokrywki i palił na czczo papierosa przyglądając się tłustym zaciekom na ścianie. Ten pierwszy papieros miał zawsze jakiś inny smak niż następne. Potem Ghart wrzucał niedopałek do zlewu i szedł do łazienki. Tak było każdego ranka i ten dzień z początku niczym się nie różnił od poprzednich. Ghart wyszedł z łazienki, zjadł śniadaniową porcję koncentratów i popił kawą pigułkę pobudzającą. Z następnym papierosem w ustach poszedł ubrać się do pokoju.

Elen jeszcze spała, z twarzą wciśniętą w poduszkę. To lepiej. Rano zawsze miała twarz zniszczoną i zmęczoną. Nie uczesana, bez makijażu, nie wyglądała tak zachęcająco jak wieczorem. Pochylił się. W sumie Elen nie była zbyt piękna, a zrobiliby wszystko, żeby ją przy sobie zatrzymać.

Poznał ją w jakimś barze, siedziała czekając, aż ktoś ją poderwie. Jak wiele dziewczyn. Zdawał sobie sprawę, że pewnego dnia poderwie ją kto inny, mimo że go kochała. Elen bardzo chciała mieć dziecko. Dziecko można mieć tylko z mężczyzną, który uzyskał pozwolenie na zawarcie małżeństwa, a Ghart takiego zezwolenia nie posiadał i nie miał widoków na jego otrzymanie.

Dzwonek. Podszedł do videofonu, wcisnął taster. Na ekranie ukazał się Oridhi.

— Cześć. Wreszcie jest coś dla ciebie, porządna sprawa. Czekam na ciebie na rogu 44 i 392 Alei. Duża biała willa.

— W tej luksusowej dzielnicy?

— Tak. Trafisz łatwo, pod domem stoi kupa radiowozów.

— Dziękuję, stary. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

— Dobra, pośpiesz się, bo cię ktoś uprzedzi.

Ekran zgasł. Ghart zaczął się w pośpiechu dopinać. Gdy wychodził, usłyszał za sobą głos Elen. Wrócił się nerwowo do pokoju.

— Co się stało?

— Nie pożegnasz się ze mną?

Ukląkł przy materacu. Założyła mu ręce na szyję i pocałowała go mocno.

— Do widzenia — powiedziała spuszczać oczy i natychmiast znowu odwróciła się twarzą do poduszki. Nigdy dotąd nie całowała go, gdy szedł do pracy.

Piątek, 6.55–7.34

— Cholera — powiedział Ghart z niesmakiem, przyglądając się zmasakrowanym zwłokom. — To musiał być jakiś psychopata. Wystarczy — dodał po chwili.

Umundurowany policjant pochylił się nad plastikowym workiem ze zwłokami i zasunął zamek błyskawiczny.

— Nie wyobrażam sobie człowieka, który mógłby coś takiego zrobić — stwierdził sierżant Gotschky.

— Bezpośrednią przyczynę śmierci trudno na razie ustalić. Kręgosłup złamany w wielu miejscach, czaszka zmiażdżona, zebra i kości kończyn pogruchotane, w wielu miejscach przebiły mięśnie i skórę, być może również jakieś narządy wewnętrzne, to wykaże sekcja — wyrecytował Oridhi monotonnym głosem. — Zbrodni, sądząc z pobieżnych oględzin, dokonano przez wielokrotne silne uderzenie ciężkim, tępym przedmiotem. Na mój gust wygląda to, jakby ktoś faceta najpierw zabił, a potem usiłował wklepać w podłogę.

Ghart podrapał się nerwowo po policzku. Zawsze gdy widział Oridhiego przy pracy, myślał sobie, że to właśnie on powinien być oficerem, a Ghart co najwyżej jego pomocnikiem. Ten

facet połowę z czterdziestu lat swego życia przepracował w policji i znał swój fach o wiele lepiej niż większość oficerów. Ale cóż, zabrakło mu siły przebicia.

— Coś o nim wiadomo?

Oridhi przerzucił parę kartek w notesie.

— O ile to jest właściciel mieszkania — tak. Identyfikację trzeba będzie przeprowadzić przez sprawdzenie kodu genetycznego. Nazywa, to znaczy nazywał się Carlos Rast i był profesorem Centralnej Akademii Fizyki Stosowanej. Pracował w instytucie temporalistyki, był jego najlepiej opłacanym pracownikiem.

— Morderstwo na tle rabunkowym? Zaskoczył złodzieja i wtedy ten go...

— Nie sądzę. Sejf na dole pełen jest pieniędzy i biżuterii, nie nosi najmniejszych śladów, jakie musiałyby zostać po próbach jego otwarcenia. Zresztą klucze od sejfu leżą spokojnie na biurku, w tamtym pokoju. Szuflady biurka są wyjęte, wszystko wyrzucone na podłogę, ktoś tam czegoś szukał, najwyraźniej w pośpiechu. Na razie brak tylko jego prywatnej karty kredytowej oraz robota.

— Co to za robot?

— Jeden z dziesięciu prototypowych egzemplarzy serii R. W hallu na dole leży rozbity robot naprawczy serwisu L.N.T. Rast wzywał go wczoraj około południa. Ponieważ robot zniknął, przysłali drugiego. Zawiadomili nas dziś o piątej nad ranem.

— Dopiero?

— Robot wrócił do bazy wieczorem, meldując o zniszczeniu jednego z pracowników firmy. Dłuższy czas usiłowali się połączyć z Rastem, a ponieważ nie odpowiadał, przysłali tu swojego człowieka.

— Gdzie on jest?

— Zabrali go, dostał szoku. Gdyby nie ten zniszczony robot, nie dowiedzielibyśmy się o morderstwie wcześniej niż za tydzień. Rast w zasadzie nie utrzymywał kontaktów towarzyskich i akurat miał jeszcze przed sobą osiem dni urlopu.

— Jakby chciał, żebyśmy szybciej się o wszystkim dowiedzieli — mruknął Ghart pod nosem. Odwrócił się. Dwóch ludzi w cywilu rozstawiało statywy kamery i emitera podczerwieni.

— Przepraszam bardzo, panie poruczniku. — Skinął głową. Odeszli kilka metrów. Ghart oparł się o boazerię. Wyczuł coś pod palcami, jakby osad. Odwrócił głowę. Cała ściana poznaczona była bryzgami zeschniętej krwi. Bezwiednie potarł boazerię palcami. Spod opuszków posypał się brunatny pył. Krew Rasta, czy kim tam jest ten trup. Cofnął dłoń, wycierając palce o spodnie.

— Video na dole, major Starks — powiedział jeden z konstabli wchodząc po drewnianych schodkach.

Ghart popatrzył ze zdziwieniem na Oridhiego. — Patrz... — Odwrócił się. Schodząc na dół podziękował jeszcze Oridhiemu gestem dłoni. Ten odpowiedział mu uśmiechem.

Kabina znajdowała się w hallu, odgrodzona eleganckim przepierzeniem.

— Porucznik Ghart.

Starks na ekranie był niewyspany, nie ogolony i wściekły.

— Aha — mruknął pod nosem, wydymając dolną wargę. — Nie ma tam nikogo ze starszych oficerów?

— Nie. Zgodnie z regulaminem...

— Tak, tak. Znam regulamin. Meldujcie.

Ghart uśmiechnął się lekko, raczej tylko skrzywił wargi.

— Na razie jeszcze zwłoki nie zostały zidentyfikowane, ale wszystko wskazuje, że jest to właściciel willi, Carlos Rast. Zwłoki zmasakrowane, mordu dokonano w sposób niezwykle okrutny. Zabezpieczamy właśnie ślady. Sejf jest nie naruszony, pieniądze i wartościowe

przedmioty nie tknięte. Zginęła tylko karta kredytowa Rasta, poza tym wszystkie jego papiery są w nieładzie, ktoś tam czegoś szukał. To na razie wszystko, pracujemy dalej.

Starks skinął głową.

— W porządku. Przyślę tam kilku oficerów.

— Nie sądzę, panie majorze, żeby było to potrzebne — powiedział Ghart z naciskiem. — Zgodnie z regulaminem...

Zgodnie z regulaminem oficer, który pierwszy zjawiał się na miejscu przestępstwa, prowadził śledztwo. O tym, kto znajdzie się tam pierwszy, decydował zazwyczaj Starks lub któryś z jego zastępców. W tym wypadku Oridhi popełnił wykroczenie. Sam wezwał Ghana. Starks od dawna nie pozwalał Ghartowi objąć żadnej sprawy, ani nawet być asystującym.

— Powiedziałem już, że znam regulamin, i panu też radzę go poznać, poruczniku. Zwłaszcza punkt 67. To nie jest zwykła sprawa. Carlos Rast był, to jest... Carlos Rast to ważna osobistość. Śledztwo dotyczące go bezpośrednio nie może być prowadzone przez jedną osobę, lecz jako sprawa najwyższej wagi, przez specjalny zespół. Naturalnie, pan też w nim zasiądzie jako ten, który był pierwszy na miejscu przestępstwa — zakończył Starks. — Proszę natychmiast zameldować mi, kiedy zidentyfikujecie zwłoki.

Ekran zgasł. Ghart popatrzył chwilę na ciemnoniebieski prostokąt, mnąc w zębach przekleństwo. Odwrócił się energicznie i wyszedł zza przepierzeń. Cholera.

Zapalił papierosa i rozejrzał się po mieszkaniu. Było urządzone bogato i ze smakiem. Na wprost głównych drzwi znajdowało się wejście do salonu. Ghart obrzucił go wzrokiem. Ten Rast musiał być faktycznie nie byle kim, pomyślał. Kręcone schodki prowadziły na górę, a po drugiej stronie hallu w dół. Ghart dotknął kontaktu. Na dole znajdowały się metalowe drzwi. Otworzył je. Garaż. Na wprost drzwi do garażu były jeszcze jedne, których wcześniej nie zauważył, obite dźwiękochłonną wykładziną. Skrzypiały w zawiasach.

Z obszernej sali wionął chłód. Cementowa podłoga pokryta była rudym plastikiem. Kilka drewnianych czy zrobionych z czegoś podobnego do drewna machin o dziwnych kształtach, kolekcja stalowych kleszczy zawieszonych na ścianie, dyby, „żelazna dziewica”, w kącie metalowe krzesło ze skórzanymi paskami służącymi do przypinania ofiary. Kilka kabli zakończonych miedzianymi klamerkami i transformator wysokich napięć. Na podłodze gęsto rysowały się ciemniejsze plamy krwi.

Zamknął za sobą drzwi sali tortur i wrócił na górę. Przy drzwiach garażu leżał jakiś papier, spojrzął przelotnie: fragment reklamy „Rak to pewność i satysfakcja” — jakiś folder rzucony niedbale grzbietem do góry.

— Zidentyfikowali go — powiedział Oridhi. — To Rast.

Ghart podrapał się po głowie.

— Zamelduj o tym Starksowi — powiedział.

Przed domem zatrzymał się policyjny samochód.

Piątek, 10.00–11.55

— Wystarczy logicznie pomyśleć, panowie — Starks, mówiąc, bez przerwy drapał się po twarzy. — Jeden z pierwszych obywateli naszego państwa, członek Wielkiej Rady Naukowej, zostaje zamordowany. Morderca nawet nie dotyka zgromadzonych w domu pieniędzy ani kosztowności, interesują go tylko znajdujące się tam dokumenty. Wszystko wskazuje na to, że przestępstwo było długo przygotowywane. Morderca wybrał moment dający gwarancję, że zbrodnia przez dłuższy czas nie zostanie zauważona. Znał sposób przeniknięcia przez system alarmowy domu — co wskazywałoby na kogoś z jego przyjaciół. Krótko mówiąc uważam, iż jest to morderstwo na tle politycznym.

Sześciu ludzi siedzących wokół stołu milczało.

— Sprawdziłem dane o wszystkich, którzy znali osobiście Rasta — powiedział nadinspektor Vasd, zastępca Starksa. — Dwóch spośród nich opuściło wczoraj miasto. Myślę, że najciekawszy jest dla nas doktor Holden. Pojechał do Lacji. Niby to na kongres naukowy.

Starks znowu podrapał się po zaroście, aż Gharta przeszły ciarki.

— To może oznaczać, że był ich człowiekiem i że już stamtąd nie wróci... Trzeba sprawdzić wszystko, co wiąże się z jego osobą. Bądź co bądź mamy długie ręce.

— Kilka rzeczy nie pasuje mi do tej hipotezy, majorze — odezwał się Ghart. — Załóżmy, że przestępca chciał zabić Rasta i zabrać jakieś tajne dokumenty. Dlaczego w takim razie przez kilka minut dokładnie, metodycznie masakrował zwłoki? To wygląda na zbrodnię w afekcie albo od dawna przygotowywaną zemstę kogoś, kto Rasta potwornie nienawidził. Dalej: zniknął luksusowy robot będący własnością Rasta, sygnałny egzemplarz nowej serii koncernu L.N.T. Zginęła też jego prywatna karta kredytowa. Wreszcie, po co ktoś wzywał roboty z serwisu technicznego? Jeżeli zrobił to przestępca, a wszystko na to wskazuje, to niszcząc je doprowadził do wcześniejszego wykrycia przestępstwa.

— Być może sam Rast wezwał je wcześniej, zaskoczyły przestępcę i dlatego je zniszczył — odezwał się któryś z członków zespołu.

— Nie musiał, nie były dla niego groźne. Zresztą videofon w willi Rasta jest w pełni sprawny, a osoba składająca zamówienie nie użyła wizji. — Ghart odsunął się od stołu i rozparł wygodnie w fotelu.

Starks zamyślił się.

— Jasność w tej sprawie będziemy mieli po sekcji, jeżeli uda się dokładnie ustalić czas śmierci Rasta.

— Kazałem anulować kartę kredytową z poleceniem zatrzymania każdego, kto próbowałby się nią posłużyć.

— Słusznie — przytaknął Starks. — Głównym podejrzanym jest jednak Holden, uważam, że śledztwo powinno iść w tym kierunku. — Spojrzał na zegarek. — Chwila przerwy, panowie. Nie opuszczajcie budynku i bądźcie w pogotowiu. Pan, poruczniku, zajmie się wyjaśnieniem sprawy tego robota.

Ghart skinął głową. Podniósł się i ciężko podszedł do videofonu. Połączył się z Oridhim.

— Cześć. Mam prośbę.

— Tak.

— Potrzebuję informacji o tym robocie Rasta. Dowiedz się, co to było... Mógłbyś?

— Czemu nie. Zadzwoń do mojego pokoju za piętnaście minut.

— Dobra. O, wiesz co, spróbuj dorwać kogoś z jego konstruktorów. Umów go ze mną.

— W porządku. Na razie.

Ghart przetarł oczy, spojrzął na zegarek — 10.24. Wykręcił swój numer. Czekał chwilę, ale ekran pozostał ciemny, a z głośnika płynął monotony sygnał. Spróbował jeszcze raz — na nic. O tej porze Elen zazwyczaj była w domu. Postanowił coś przegryźć. Zjechał na dół, do bufetu.

Gdy wychodził z windy, podeszło do niego dwóch wojskowych w mundurach.

— Porucznik Ghart? Proszę z nami.

Wsiadli do czarnej limuzyny i ruszyli najszybszym pasmem.

— Mogę wiedzieć, dokąd jedziemy? — spytał Ghart po dłuższym czasie.

— Nie — odparł jeden z oficerów. Było to jedyne słowo, jakie padło z ich strony podczas kilkunastominutowej jazdy.

Zatrzymali się przed ogromnym wieżowcem, którego widok zawsze wywoływał u Ghana nieprzyjemne uczucie. Skierowali się do bocznego wejścia. Ghart starał się liczyć pietra, zgubił się około trzydziestego. Oficerowie doprowadzili go do czarnych drzwi i delikatnie wpełnęli do środka.

— Proszę, poruczniku. Niech pan usiądzie. — Za ogromnym biurkiem siedział suchy, szpakowaty mężczyzna w mundurze. Był to generał Aaron P. Mosby, jeden z najbardziej wpływowych ludzi w państwie.

— Mam do pana zaufanie — mówił generał — ale na wszelki wypadek wolałbym uprzedzić pana, że nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy.

— Oczywiście. Czy mogę zapalić?

— Proszę. Moje zadanie dla pana nie jest oficjalnym rozkazem, bo takich nie mam prawa panu wydawać. Niewykluczone, że nawet okaże się sprzeczne z rozkazami pańskich przełożonych. Proszę jednak to, co powiem, potraktować jako... prośbę o pewną drobną, przyjacielską przysługę. Chyba nie wątpi pan, że warto sobie zaskarbić moją przyjaźń?

Zawiesił głos, ponieważ jednak Ghart milczał, generał uśmiechnął się i mówił dalej. — Lubię takich ludzi jak pan. Kiedyś sam taki byłem... — pochylił się. — Chodzi o sprawę zabójstwa Carlosa Rasta. Major Starks, który, jak wiem, niezbyt pana lubi, za to sam jest jednym z ulubieńców ministra bezpieczeństwa, upiera się, że było to morderstwo polityczne. Starks to uparty facet i gotów to udowodnić. Tymczasem nam zależy na udowodnieniu, że śmierć Rasta absolutnie nie miała nic wspólnego z polityką. Po prostu zwykła sprawa kryminalna... dobrze by było zrobić z tego jakiś wielki skandal, to by chwyciło. Rozumie pan, poruczniku? To jest właśnie... ta moja prośba do pana.

— A jeżeli okaże się, że to naprawdę było morderstwo polityczne?

— Tak pan uważa?

— Nie wiem, staram się brać pod uwagę wszystkie możliwości.

Mosby uśmiechnął się lekko.

— I po co? Starks, na przykład, wziął tylko jedną. Tę, którą kazano mu udowodnić. My chcemy tylko, żeby pan udowodnił co innego.

— A gdyby mi się nie udało?

— Cóż... Ale uda się panu, prawda?

— Sądzę, że tak.

— Dobrze. — Mosby podał mu kartonowy bilet. — To jest numer, pod który może pan zadzwonić w potrzebie. Ale tylko wtedy, gdy będzie pan pewien skutków naszej interwencji. Do widzenia.

Wychodząc z gabinetu, Ghart schował kartonik do kieszeni. Pod drzwiami czekali oficerowie. Wszystko odbyło się identycznie jak przedtem, tylko w odwrotnej kolejności. Odwieźli go w milczeniu pod prefekturę i odjechali.

Po raz drugi usiłował dopchać się do bufetu, kiedy przypomniał sobie, że miał skontaktować się z Oridhim. Popędził na górę, wpadł do swojego gabinetu. Kilkakrotnie uderzył przyciski numerowe.

— Cześć. Musiałem coś jeszcze załatwić.

Oridhi spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Umówiłem cię z jednym z konstruktorów tego robota, ale... Starks...

— Starks może mi teraz skoczyć.

— Na razie wylał cię z zespołu śledczego.

— Kiedy?!

— Przed chwilą. Zabronił wam opuszczać budynek, zobaczył, że gdzieś jechałeś. Słuchaj, odwołaj się do Metza, Starks nie miał do tego prawa.

— Miał. Regulamin to on zna na pamięć. — Ghart z rozmachem uderzył otwartą dłońią w boczną ściankę videofonu. — Skurwysyn. Zresztą Metz i tak by go poparł...

— To co, odwołać tego faceta?

— Nie, nie. Swoją robotę trzeba robić porządnie, nawet jeśli nie wolno. Na kiedy go umówiłeś i gdzie?

— Będzie za... — Oridhi zerknął na zegarek — pół godziny w twoim gabinecie. Nazywa się Josou, główny konstruktor serii „R”.

— Jakżeś to zrobił?

— Postraszyłem go trochę. To taki śmieszny pedałek, mało nie umarł z przerażenia.

— Okay, dziękuję ci.

— Drobiazg. Cześć.

Ghart zamyślił się. Wystukał kilkakrotnie swój domowy numer. Nic. Elen powiadomiłaby go o swoim wyjściu. Zresztą, gdzie mogła wychodzić? Trochę się niepokoił. Podszedł do biurka, usiadł na nim i zapalił papierosa. Szybko to poszło. Starksem się w sumie nie przejmował, pewien był od razu, że tamten zrobi wszystko, żeby go od tej sprawy odsunąć. Cały czas był pod wrażeniem swej rozmowy z Mosbym. Oto szansa. Spadła niespodziewanie, ale nie mógł jej przepuścić. Dlaczego Mosby wybrał właśnie jego? Z tego co wiedział, Mosby żarł się z ministrem bezpieczeństwa, którego protegowanym był Starks. Mosby był chyba zresztą silniejszy. Skompromitowanie Starksa to uderzenie w ministra, a więc i Mosby, i Ghart dobrze by na tym wyszli. Może by nawet awansował? Miał już dość tej wegetacji w klitce z oblażącą ze ścian farbą. W dodatku wykonanie polecenia Mosby’ego pozwoliłoby mu otrzymać zgodę na zawarcie małżeństwa i na dziecko. Morderstwo to dla gazet temat na pół roku, czyjaś nieudolność w wykryciu jego sprawy — na następne pół.

Ścisnęło go w żołądku. Podszedł jeszcze raz do videofonu. Chciał jak najszybciej powiedzieć o tym wszystkim Elen. Wystukał numer. Znowu nic. Trzasnął ze złością drzwiami i poszedł do bufetu.

Piątek, 13.00–13.40

Gdy wrócił po godzinie, przed jego drzwiami czekał niewysoki grubas. Po mięsistych policzkach spływały mu duże krople potu.

— Josou? — spytał Ghart przyglądając się jego drżącym rękóm.

— Tak, to ja.

Ghart otworzył drzwi.

— Proszę. — Wskazał mu krzesło i usiadł na blacie biurka, zapalając papierosa. — Pan jest konstruktorem robota Ralt, wyprodukowanego przez L.N.T.?

— Tak. Seria „R” właśnie wchodzi do produkcji. Wszystkie moje...

— Proszę powiedzieć — przerwał mu Ghart — czym ta konstrukcja różni się od poprzednich?

— Jest to... udoskonalenie, rozwinięcie modelu miękkiego robota... Tak nazywamy roboty imitujące ludzi, te z czerwonym kwadratem, tak zwane domowe...

— Jeszcze jedna z tych waszych zabawek do bicia?

— No tak. Chodziło o... wie pan, dawniejsze roboty tego typu reagują na zadawanie im bólu na zasadzie czysto mechanicznej, płaczą, krzyczą, krwawią, ale wywołuje to niezadowolenie niektórych naszych klientów, pewien niedosyt. Dlatego polecono mojemu zespołowi skonstruowanie robota, który mógłby naprawdę odczuwać ból, cierpienie... nie tylko fizyczne, także... upokorzenie, gorycz, rozumie pan, wszystkie reakcje psychiczne właściwe tylko człowiekowi.

— Więc czym właściwie się on różni od człowieka?

Zastanawiał się chwilę.

— Nie może zemścić się, zrobić krzywdy temu, kto zadaje mu ból.

Ghart wstał.

— Jest pan tego pewny?

— Tak. Są zabezpieczenia.

— A jeżeli zawiodą?

— Wtedy każdy robot, to znaczy przy takiej awarii, zgłasza się do serwisu naprawczego. — Josou zamilkł na chwilę. — Z tym, że on...

— No?

— On ma instynkt samozachowawczy, to znaczy coś w tym rodzaju. Chyba by tego nie zgłosił. Ale do awarii zabezpieczeń dojść nie mogło.

Ghart wyciągnął z szuflady biurka kolorowe zdjęcia przedstawiające zwłoki Rasta. Podał je Josouemu.

— Boże, co to jest?!

— Carlos Rast. A raczej to, co z niego zostało po, prawdopodobnie zbyt intensywnym, używaniu waszego robota.

— Boże... — Josou milczał długo, przenosząc przerażony wzrok to na zdjęcia, to na Gharta. Po dłuższej chwili zapytał: — A co się stało z Raltem? Gdzie on jest?

— Właśnie staram się go znaleźć. Nie będzie to łatwe, gdyż najprawdopodobniej zlikwidował swój znak rozpoznawczy, no i raczej nie przyjdzie tu z własnej woli. Jeżeli wierzyć w połowę tego, co L.N.T. nawypisywało o nim w swoich folderach, będzie to niemalże przestępca doskonały. Czy on może się mścić?

Josouemu trzęsły się już nie tylko ręce. Nerwowo wytarł twarz z potu.

— Teraz... sądzę, że tak.

— Aha. A jak pan myśli, na kim może się mścić? Najpierw na właścicielu. To już załatwione. Logicznie rzecz biorąc, na drugim miejscu powinien być konstruktor.

Josou patrzył na zdjęcie.

— Rozumiem — powiedział zgaszonym głosem. — Zabezpieczenie rzeczywiście mogło wysiąść, jeśli robot był przeciążony. Rast był... strasznym sadystą. Właściwie co tydzień kupował nowego robota i skarżył się, że dają mu za mało satysfakcji. Oczywiście, takich jak on jest więcej, ale to był człowiek bardzo wpływowy.

— Do wieczora musi mi pan powiedzieć, co Ralt teraz zrobi.

— To niemożliwe. Oczywiście, znamy jego psychikę, ale jest bardzo skomplikowana, prawie tak samo jak ludzka. Mogę panu powiedzieć tylko... ogólnie, jakie motywacje będą u niego najsilniejsze.

Ghart wydarł kartkę z notesu i zapisał na niej swój numer.

— Natychmiast, gdy będzie pan coś wiedział, proszę do mnie zatelefonować. Obowiązuje pana tajemnica. Nawet gdyby pytali pana inni funkcjonariusze, nic panu nie wolno powiedzieć. Jasne?

— Tak. — Josou niezdecydowanie zrobił dwa kroki do drzwi, przystanął, odwrócił się...

— Pan go złapie? — spytał.

— Tak.

— Widzi pan... kiedy cała ta sprawa wyjdzie na jaw, koniec ze mną. Z pewnością mnie wyrzucą... sam pan sobie wyobraża, co będzie, jak dorwie się do tego telewizja. Wszystko skrupi się na mnie. Czy nie dałoby się potem tego jakoś...

— Na razie niech pan zrobi wszystko, żeby go złapać.

— Tak, oczywiście. Do widzenia.

Ghart oparł się ciężko o biurko. Potem podszedł do video. Cisza. Wyszedł z gabinetu kierując się ku windzie, potem nagle cofnął się i poszedł do sali, w której obradował zespół śledczy.

— A gdyby zjawić się tam w momencie, gdy Holden... — Starks spojrzął na otwierające się drzwi. — Proszę wyjść!

Ghart podszedł do niego.

— O co chodzi, poruczniku? Pan już nie ma dostępu do tego śledztwa.

— Właśnie o to — powiedział Ghart i dał Starksowi w zęby, po czym odwrócił się i poszedł do windy. Włożył ręce do kieszeni, zadowolony z siebie i pewny, że trafił na dobry trop.

Piątek, 15.00–17.50

Obrócił dwa razy klucz w zamku. Drzwi zaskrzypiały cicho. Wszedł.

— Elen!

Pokój był pusty. Na materacu leżała skłębiona, przepocona pościel. Jej zapach mieszał się z papierosowym dymem. Machinalnie zwinął pościel i wrzucił ją do skrzyni. Otworzył okno. Z pełną popielniczką w ręku wszedł do kuchni. Wyrzucił niedopałki do zsypu, zajrzał do łazienki. Cisza. Nikogo.

Boże, jak bardzo nienawidził tego pustego, śmierdzącego mieszkania. Na stole leżała złożona we czworo kartka. Rozłożył ją. Poznał charakter pisma.

Mój drogi. Sam wiesz, że to musiało kiedyś nastąpić, zresztą rozmawialiśmy już o tym nieraz. Musisz mnie zrozumieć. Naprawdę cię kochałam. Może za mało, bo nie potrafię sobie zmarnować całego życia tylko po to, żeby być przy tobie. Wiesz, że nie mogłam już tego wytrzymać. Spotkałam człowieka, który może mnie wyciągnąć z tego dna i nie mogę tej szansy zmarnować. Naprawdę muszę mieć dom i dziecko. Nie myśl o mnie źle — Twoja Elen.

Odłożył kartkę i zacisnął pięści. O Boże, Elen, gdybyś wiedziała... gdybyś mogła wiedzieć. Zaciśniętą pięścią z całej siły rąbnął w ścianę. Jeszcze raz. Kilka kawałków tynku osypało się na podłogę. Kostki zabarwiły się na czerwono. Ból. Wypuścił przez zęby powietrze, zrobił kilka głębokich oddechów. Tak. W końcu chyba jeszcze nic straconego...

Usiadł ciężko na materacu. Papieros. Zaciągnął się kilka razy głęboko. Sięgnął pod okno, po butelkę z wódką, zdjął nakrętkę i pociągnął kilka łyków. Postawił butelkę na podłodze.

Był spokojny. Przeczuwał to podświadomie, wiedział, że przyjdzie — a mimo to dał się zaskoczyć. Po rozmowie z Mosbym wahał się jeszcze, czy zrobić tak, jak mu kazano. Zdecydował się dopiero, gdy Starks usunął go z zespołu śledczego. Teraz zrobi wszystko, żeby nie przepuścić tej szansy. Osunął się na materac. Na ten sam materac, na którym sypiali przez kilka miesięcy. Przytknął butelkę do ust.

Wódka spływała dwoma strumyczkami po policzkach. Zacisnął oczy.

„Wiesz, Elen...” przypomniał sobie. Noc. Leżał z twarzą przytuloną do jej barku, delikatnie pieścił palcami jej ramię. „Jak to dobrze, że cię spotkałem. Tak się bałem...”

„Czego?”

„Nie wiem. Wszystkiego się bałem. Teraz też, ale już nie tak. Kłębek strachu. Zwłaszcza w nocy, budziłem się nagle i tak się potwornie bałem, że chciało mi się skulić w kącie i krzyczeć. Bałem się, że do końca zostanę na dnie. Że ukradną mi pensję, że ktoś naciśnie guzik i wylecę w powietrze razem z całym miastem, że wyłysięję, że Starks mnie wywali z roboty, że wpadnę pod samochód, że w jedzeniu mogą być jakieś trucizny z fabryk, że ta betonowa klatka się nagle zawali, że nigdy nie znajdę sobie dziewczyny... Tysiące rzeczy, których się bałem, a nie chciałem, żeby inni ludzie to dostrzegli. Przychodziły w nocy, wtedy pękałem, płakałem, jak nikt nie widział. Przecież człowiek nie jest z kamienia. Nawet kamień pęka, gdy się go za mocno przycisnie.”

Poruszyła się.

„Ilu dziewczynom to już mówiłeś?”

„Każdej, która tu była przed tobą...”

Podniósł się ciężko. W butelce pokazało się dno. Rzucił ją pod ścianę. Usiadł i przetarł palcami oczy. Zapalił papierosa. Chwiał się lekko na nogach... Przecież nic jeszcze nie stracił. Jeszcze nie. Jeśli złapie tego robota... on pewnie też się boi. Jeśli jest człowiekiem, a przecież jest, to na pewno się boi. Jak wszyscy ludzie. Zresztą, co to są ludzie? Sadyści, masochiści, sodomicy, o Boże, więcej niż połowa społeczeństwa to różni zbrodniecy.

Zwłaszcza ci z góry. Taki Rast. Gdyby Ghart miał taką willę z salą tortur, to chciałby mieć w tej sali właśnie Rasta, Nie, bzdura, w ogóle by nie zbudował takiej sali. To rozrywka dla tych rozleniwionych skurwysynów, którzy zawsze mieli najdroższe papierosy, najdroższe alkohole, najdroższe samochody i najdroższe dziewczyny. Nic dziwnego, że nie wiedzą, co ze sobą zrobić, jak się nie nudzić. Ale dobrze, że ten robot go zatłukł. Szkoda, że tylko jego. Ghart też jest takim robotem. Takim chłopcem do bicia przez wszystkich, kto tylko ma na to ochotę. Od Starksa po Elen.

Podniósł głowę. Nie, przecież Elen nic do tego nie ma, skąd ci to przyszło do głowy, idioto. Nie była wcale w lepszej sytuacji. Puszczala się czasem, żeby nie zgnieć w monotonii tej wegetacji, teraz jest pewnie szczęśliwa. Ciekawe, kim jest ten facet. Ghart spróbował się podnieść. Stał opierając się o ścianę. Kim by nie był, Elen i tak do niego wróci. Jak tylko złapie Ralta. Jeden chłopiec do bicia złapie drugiego chłopca do bicia i dostanie cukierka. Zaczął się śmiać. Boże, człowieku, jaką ty masz słabą głowę, jedna butelka. Szkoda, że więcej nie miał. Coś brzęczało. Rozejrzył się. Videofon. Podszedł chwiejnym krokiem.

— Tak, słucham.

— Ghart? — Głos Oridhiego. — Dlaczego nie włączasz wizji?

— Wolałbym nie.

— Starks wylał cię z policji.

— Pieprzę go. Jeszcze mnie będzie po nogach całował. Stary, wiesz co? Mam teraz takie plecy...

— Ghart, piłeś?

— Piłem. Trochę. Trzymam się na nogach. Nie martw się o mnie, załatwię sobie lepszą robotę. Mam dość tej waszej pieprzonej policji.

— Nie „waszej”. Mnie też wylał.

— Ciebie? Za co?

— Za jednego egzaltowanego gówniarza. Pogadamy, jak wytrzeźwiejesz.

— Słuchaj Oridhi, zadzwonię do ciebie. — Zatoczył się na ściankę video. — Za jakiś czas. Zobaczysz, jeszcze się lepiej ustawimy od Starksa. Zobaczysz.

— Dobra. Zadzwon, jak wytrzeźwiejesz.

Oridhi wyłączył się. Ghart odepchnął się rękami od aparatu i wyprostowany jak decha upadł na podłogę. Trafiał głową w materac, złagodziło to trochę siłę uderzenia. Leżał dłuższą chwilę zupełnie zamroczony.

Z każdą chwilą jestem bardziej zalany, pomyślał. Zaczął się znowu gramolić do pozycji pionowej. Dopełznął na czworakach do drzwi i z trudem wstał, trzymając się framugi. Wszystko dookoła się chwiało. Wszedł do łazienki i puścił sobie na głowę strumień zimnej wody. Mam dwadzieścia cztery lata, myślał, to już starość. Spodobało mu się to. Zaczął sobie śpiewać: — Mam dwadzieścia cztery lata, mam dwadzieścia cztery lata, jestem już sta-ruuuuszkieem. — I po chwili dalej, na tę samą melodię: — Ale będzie dobrze, ale będzie dobrze, bo złapię robota, pie-przoneego robooooooataaa. — Zakręcił kran. Niewiele pomogło, ale zawsze. Wrócił do pokoju. Usiadł. Miał ogromną ochotę położyć się i zamknąć oczy, ale wtedy zaczęłoby mu się kręcić w głowie i zwymiotowałby. Zdjął kurtkę. Oparł głowę o ścianę i patrzył na obłazący z farby sufit. Znowu zaczął myśleć o tym robocie. Trochę mu go było szkoda. Nie zrobił nic złego. Zabił Rasta, bo inaczej Rast zniszczyłby jego. Okay. Nie mścił się. Miał cały dzień, gdyby chciał, zdążyłby już narozrabiać. Nie. Ale jest winny, bo zabił człowieka. A nie wolno. Wolno w odwrotną stronę. A jakby tak ludziom zaczęli nalepiać na policzki kwadraty? Człowiekowi z zielonym wolno zabić człowieka z czerwonym lub żółtym. Facetowi z czerwonym nie wolno tknąć zielonego, ale sobie może to odbić na żółtym. Żółtemu wolno być tylko zabitym. Ciekawe, jaki Ghart by miał kolor? O Boże, ale pieprzę, pomyślał, schlałem się jak świnia.

Leżał tak dłuższą chwilę, starając się nie myśleć o niczym. Mogło to trwać minutę albo godzinę, nie wiedział. Z otępienia, wypełnionego skrawkami jakichś myśli i przypominanych obrazów, wyrwał go znowu brzęczyk videofonu. Starał się właśnie jak najdokładniej przypomnieć sobie Elen, każdy szczegół jej ciała. Miał już dokładny obraz jej twarzy, kiedy videofon zaczął brzęczeć i wszystko rozsypało się w kawałki. Podniósł się ciężko. Jeszcze odrobinę chwiejnie podszedł do lustra. Poprawił sobie włosy. Miał trochę opuchniętą twarz, pokrytą kropelkami potu, cały był potarmoszony i wymięty, koszula pękła mu na ramieniu. Poza tym chyba nie było widać, że pił. Oddychał ciężko przez otwarte usta. Stał przed ekranem i nacisnął przycisk odbioru. Na ekranie pokazał się Josou. Nie był już taki przerażony.

— Dzień dobry. Sprawdziłem wszystko, co pan kazał.

Ghart zmusił się do zamknięcia ust i ściągnięcia brwi. Starał się mówić wyraźnym, ostrym głosem.

— I co?

— Pan miał rację. On... będzie się mścił, ale, tak sędzę, na razie przyczai się gdzieś na kilka dni. Może nawet na tydzień. To wszystko, co możemy powiedzieć. Poza tym będzie chyba przebywał w takich miejscach, gdzie jest dużo ludzi. Wie pan, w fabryce wszczepiono mu tylko pewne cechy podstawowe, dalej jego psychika rozwijała się sama, w zależności od warunków, w jakich się znalazł.

Stanie bez oparcia sprawiało Ghartowi trudność. Przynalął sobie krzesło i usiadł jakieś półtora — dwa metry od ekranu.

— Na drugi raz, jak będziesz majstrował takiego robota, daj mu psychikę masochisty. Tak będzie bezpieczniej...

— Zastanawialiśmy się, ale klienci tego nie lubią.

— Dobra — machnął ręką Ghart. — Jakie są te cechy podstawowe?

— Jest trochę dumny, to znaczy ma poczucie swojej wartości. Jednocześnie jest bardzo przywiązany do człowieka. Silnie wszystko przeżywa... Sędzę, że zanim nie uczyni czegoś, o czym się dowiemy, w ogóle trudno będzie cokolwiek powiedzieć. Będzie go ciągnęło do ludzi.

— No dobra. To już jest przynajmniej coś.

— Chciałem się jeszcze spytać...

— Co?

— Czy policja ma pewność, że to Ralt zabił Rasta?

— Niech pan nie będzie zbyt ciekawy. Tymczasem.

Ghart podniósł głowę. Josou przyglądał mu się badawczo. Musiał zauważyć, że Ghart pił. Wyłączył videofon. Powłókł się do łazienki, wszedł pod zimny prysznic.

Po kilkunastu minutach zakręcił kran, szcękając z zimna zębami. Wytarł się dokładnie włochatym ręcznikiem, potem ubrał. Przeszukał szafę. Nie miał drugiej koszuli. Wszystkie inne były brudne. Zastanawiał się chwilę, czy włożyć brudną, czy czystą, ale podartą, w końcu wybrał podartą. Elen by mu ją zaszyła, kiedy brał prysznic. Cholera jasna. Znowu Elen. Powinien już przestać o niej myśleć i wziąć się do roboty.

Wyjął z lodówki dwie porcje śniadaniowe i zjadł popijając wodą z kranu. Z trudem przechodziły mu przez gardło. Ścisnęło go w żołądku, jak zwykle po wódce. Właściwie czuł się trzeźwy, po picciu został mu tylko nastrój. Ponury nastrój. Było mu wstyd przed sobą samym, że pękł, i to niedługo po tym, jak wreszcie zarysowała się przed nim jakaś perspektywa. Nie powinien był pić. Obtarł dłonią wargi i zapalił papierosa. Zawsze było mu wstyd po tym, jak się rozklejał. A rozklejał się w sumie często. Znowu brzęczyk videofonu. Oridhi.

— Już w porządku?

— Tak — skinął głową.

— Jest draka. Ktoś włamał się do willi Rasta i rąbnął jakieś papiery, podobno tajne.

— Kiedy?

— Niedawno, może z godzinę temu. Starks nie posiada się z radości, wysłał już telegram, że jest na tropie siatki szpiegowskiej. Poza tym radziłbym ci zniknąć z domu, Starks dowiedział się, że już po odsunięciu cię od śledztwa przesłuchiwał tego konstruktora, pewnie zechce ci narobić brudu.

— Skąd on się o tym dowiedział?

— Chyba za bardzo grubasa nastraszyłeś i poszedł się wypłakać Starksowi w mankiet. A ten mu powiedział, że robot w ogóle nie jest o nic podejrzany i żeby zerwał z tobą kontakt.

— On tu niedawno dzwonił. Widać mimo wszystko nadal się trochę boi. Dobra — Ghart westchnął ciężko — narozrabiałem dziś solidnie, ale powinno to nam wyjść na dobre.

— Nie przejmuj się. Mnie Starks wylał, bo nie wytrzymałem i powiedziałem mu, co o nim myślę. A teraz zmień lokal i nie pij po drodze. Możesz wpaść do mnie.

— Nie, dziękuję ci bardzo. Mam jeszcze do załatwienia parę spraw na mieście. Cześć.

Wyciągnął z szafki dwie ostatnie paczki papierosów i pieniądze. Zamknął za sobą drzwi na klucz. I tak nie miał już ochoty siedzieć w mieszkaniu. W pobliżu była mała, zaciszna knajpka, gdzie mógł spokojnie posiedzieć i jeszcze raz przemyśleć sytuację.

Piątek, 18.30–21.45

Opuścił bar i szedł pustą ulicą w kierunku dzielnicy willowej. Zrobiło się chłodno. Wsadził ręce do kieszeni. Nie miał swetra, ale teraz nie chciał wracać. Postanowił poczekać, aż się ściemni, i jeszcze raz spróbować wejść do willi Rasta. Miał nadzieję, raczej jakieś przeczucie, że znajdzie tam coś interesującego.

Szedł powoli, przyglądając się ścianom domów. Ulica była pusta. Od czasu do czasu przejeżdżał szybko jakiś samochód. Okna pozamykane, każde wejście dobrze zabezpieczone. Ghart doszedł do jednej z głównych tras miasta i stanął na ruchomym chodniku. W zamyśleniu przyglądał się swojej prawej pięści. Stał z kostek zakrzepłą krew. Były opuchnięte, sine, bolały przy każdym dotknięciu.

Zanim przebył te sześć — siedem kilometrów, dzielących go od willi Rasta, zdążyło się już zupełnie ściemnić. Przed bramą stał umundurowany policjant. Ghart pokazał mu legitymację.

— Maned Ghart — przeczytał policjant w słabym świetle latarni. — Ghart? Przecież pana dziś wylali?

— Tak. — Trudno, jednak wiedzieli. — Ale widzicie, zaczęta robotę trzeba rzetelnie doprowadzić do końca.

— To pan dał w mordę Starksowi, prawda, panie poruczniku? Niech panu rękę uściskam. — Ghart syknął z bólu. Policjant spojrział z podziwem na jego kostki. — Należało się skurwysynowi. I chce się panu jeszcze zajmować tą sprawą?

— Powiedziałem wam już. Chcę zrobić, co do mnie należy. Wpuściecie mnie?

— No, oczywiście, panie poruczniku, jakżeby nie. Chwileczkę, wejdę razem z panem. — Minęli żywopłot. — A wie pan, panie poruczniku, że potem go jeszcze opieprzył ten sierżant, co tu rano był? Starksa mało szlag nie trafił.

— Tak, słyszałem.

— Chłopaki, wiecie, kto to jest? To jest ten facet, co dał w mordę Starksowi.

Spod dwóch daszków policyjnych czapek błysnęły zaciekawione spojrzenia.

— Naprawdę? To pan? — mówili obaj jednocześnie. — Wszyscy o panu mówią. Dobrze pan zrobił. Mitch, wracaj pod bramę, ja wejdę z panem porucznikiem — powiedział rosty policjant z dystynkcjami kaprała. — Proszę.

Ghart skierował się najpierw na piętro. Trupa już nie było, nie było też krwi na ścianach.

— Co jest? Sprzątaliście tu?

— Rozkaz Starksa. Jutro ma być wizja lokalna.

— Przecież to idiotyzm. Zniszczono ślady.

— Zgadza się. Ale jak Starks kazał, to co mieliśmy robić?

— No tak. — Ghart skinął głową. — A jak to było z tym dzisiejszym włamaniem?

Weszli do jednego z pokojów. W rogu stalowa szafa, otwarta, ze środka wystają papiery. Takie same papiery rozrzucone po całym pomieszczeniu, jakiś plan rozłożony na biurku. Kaprał pokazał wyłamaną ramę okna.

— Tędy wszedł. Z ulicy ani sąsiednich domów nie było widać przez te drzewa. Nie wiem, jak on mógł się po tym wdrapać.

Ghart wychylił się. Jakies półtora metra od okna rosło spore, słabo rozgałęzione drzewo.

— I co?

— W sumie nic. Pogrzebał w papierach, ludzie na dole usłyszeli hałas, ale jak przyszli, nikogo już nie było. Mógł tu być... z dziesięć minut, nie więcej.

— W porządku. Zostawcie mnie tu na chwilę.

Kaprał wyszedł. Ghart zaczął przeglądać papiery. Jakies' skomplikowane plany, wykresy, kolumny niezrozumiałych liczb i symboli.

— Czy coś stamtąd zginęło? — spytał kaprała, wyszedłszy z powrotem na korytarz.

— Podobno. Jakies plany urzędnika, nad którym zespół Rasta pracował od dłuższego czasu.

— Nie wiecie, co to było za urządzenie? — Kaprał zaprzeczył ruchem głowy. — Okay, zajrzę jeszcze na dół.

Zszedł do sali tortur. Nic tam nie ruszano. Nawet rzucony przy drzwiach od garażu folder leżał tak jak rano. Podniósł go.

RALT TO SPRAWNOŚĆ I SATYSFAKCJA! ROZŁADUJ SWOJE SPOŁECZNIE SZKODLIWE INSTYNKTY! ROBOTY SERII „R” NAPRAWDĘ CZUJĄ BÓL!

Folder ozdobiony był zdjęciem twarzy z czerwonym kwadratem na policzku, skręconej grymasem potwornego cierpienia. Zdjęcie było doskonałe, Ghartowi aż ciarki przebiegły po plecach. Wpatrywał się chwilę w tę twarz.

Wyszedł na górę i zadzwonił do Oridhiego.

— Wiesz coś o pracy Rasta? Co on konkretnie robił?

— Nie chcieli tego powiedzieć. Tajemnica państwowa. Wiem tylko, że jego praca była już na ukończeniu i zaraz po tym jego urlopie miał nastąpić próbny rozruch... ale nie pytaj czego, bo i tak nie wiem.

— W porządku, dobranoc.

— Dziękuję wam, chłopcy — powiedział Ghart wychodząc.

— Drobiazg, panie poruczniku. Ale — kaprał podszedł do niego — Starks się nie dowie, żeśmy tu pana wpuścili?

— Nie ma obawy. — Ghart wyszedł za bramę willi. Skinął głową salutującemu szeregowcowi i ruszył przed siebie.

Piątek, 22.00 — sobota 0.15

Przysiadł w małej, cichej kawiarni. Wszedł tam, bo była zupełnie pusta. Nawet obsługę zastąpiły automaty. Krótka mówiąc, dobre miejsce, żeby pomyśleć.

Potrząsnął głową. Żołądek miał ściśnięty od wódki i nadmiernej ilości papierosów, powieki spuchnięte. Uświadomił sobie, że od tych dwóch porcyjek po wytrzeźwieniu nic nie miał w ustach. Nie mógł jeść — spróbował, nie przechodziło mu przez gardło. Sączył powoli gorącą herbatę.

Josou twierdził, że Ralta będzie ciągnęło do ludzi, że będzie przebywał w miejscach, gdzie się zbierają. Próbował zebrać wszystko razem. Mecze, koncerty... a o tej porze? Może dworce? Są dość zatłoczone. Zresztą szukanie go w tłumie, nawet gdyby Ghart wiedział dokładnie gdzie, to beznadziejna sprawa. Jediną wskazówką była fotografia z folderu L.N.T., nie wiadomo zresztą, czy przedstawiała właśnie tego robota.

Włamanie do willi Rasta było sprawą Ralta, co do tego Ghart nie miał wątpliwości. Na co Raltowi plany urządzenia opracowywanego w instytucie? Żeby się mścić? Chyba nie. A może w instytucie opracowywano jakąś nową broń? Nie, tym zajmują się specjalne laboratoria armii. Więc po co? Jak logicznie skojarzyć słowa Josouego z faktami? Bądź co bądź konstruktor robota powinien znać go najlepiej. Wcześniej rozmawiał ze Starksem. (Ciekawe, co Starks mu powiedział) Na miejscu Ralta Ghart wcale nie szukałby ludzi. O ile pamiętał, robot włączany jest dopiero po sprzedaży, na życzenie klienta. Ludzie to dla Ralta Carlos Rast.

W ogóle jakoś się to nie trzymało kupy. Jeżeli chciałby się mścić, to po cholere ma się najpierw przyczajac na parę dni, a w ogóle jak jednocześnie może być przywiązany do człowieka i starać się przebywać w większych skupiskach ludzkich?

Co Starks mu powiedział? Powiedział Josouemu, że zabójstwo Rasta to sprawa polityczna i że jego robot nie ma z tym nic wspólnego. Podczas videofonicznej rozmowy z Ghartem Josou już się tak nie bał, Ghart zauważył to nawet po pijaku. Starks musiał go przekonać. Josouemu wcale nie zależało na schwytaniu Ralta. Więcej, zależało mu na tym, aby Ralt nie schwytano. Jest tchórzem, ale z pewnością nie jest głupi. Udowodnienie tezy Gharta to koniec Josouego. O ileż lepiej byłoby dla niego, gdyby Starks postawił na swoim.

Ghart zamknął oczy. Josou mógł kłamać. Josou musiał kłamać. Co Ghart zrobiłby na miejscu Ralta? Uciekałby. To jasne, ucieczka, schować się gdzie bezpiecznie, jak najdalej. Ze zrezygnowaniem huknął pięścią w stół. Nic z tego. Nawet dysponując całymi siłami policji, nie dałoby się zablokować wszystkich wyjść z miasta, zresztą Ralt miał tyle czasu... Nagle ogarnęło go zwątpienie. Był bezsilny, zmarzł, chciało mu się spać i płakać z wściekłości. Zacisnął zęby. Gdyby wiedział przynajmniej, czym zajmował się Rast, co to za plany Ralt ukradł z jego domu. Gdyby wiedział... cholera jasna! Czym on się mógł zajmować w Instytucie Temporalistyki?! No tak. Badania o niezwykłym znaczeniu dla armii, no tak, na ukończeniu. Najlepszy sposób ukrycia się, jaki można sobie wyobrazić, cofnąć się przynajmniej o kilka lat. Dziś piątek, jutro i pojutrze w Instytucie nie ma nikogo. Ma czas na sprzęgnięcie się z komputerami i jeżeli Rast zdążył opracować ogólne założenia projektu, na dopracowanie szczegółów.

Podniósł się i rozejrzał po sali. Nie było w niej videofonu, nie było go też w pobliżu wyjścia, na ulicy. Jeżeli to wszystko prawda, jest w sumie porządnym facetem. Wyrwał się, nie chce się nawet mścić, chce tylko uciec. Ghart na jego miejscu z pewnością by się mścił. Gdyby go nie ściagał, z pewnością by mu pomógł. Ale w tej sytuacji nie było go na to stać. A gdyby jednak pozwolił mu się urwać, przecież zostaną ślady, fakty... — Ghart szedł szybko, rozglądając się. — Fakty można układać, jak się chce. Starks to rutyniarz, udowodni, co mu każą, tak, że nie będzie się można przyczepić. Jedyne rozstrzygające dowód to robot z nie uszkodzonymi kryształami pamięciowymi.

Znalazł wreszcie kabinę video. Szperał chwilę w kieszeniach, wreszcie wyciągnął kartonik, który dał mu Mosby. Wystukał napisany na nim numer.

Bardzo długi sygnał. Ghart przełknął ślinę. W końcu na ekranie ukazał się Mosby.

— Dobry wieczór, panie generale. Jestem o krok od uzyskania niezbitego dowodu, że Carlos Rast został zamordowany przez uszkodzonego robota firmy L.N.T.

— Dziwny pomysł. Ale dobry. To chwyci.

— Nie wiem, czy wie pan, że zostałem usunięty z policji.

— Wiem.

— Potrzebuję pewnej pomocy. Trzeba otoczyć Instytut Temporalistyki wojskiem.

— Dlaczego nie policją?

— Sądzę, że to da lepszy efekt. „Policja poszła mylnym tropem, a wojsko ujęło mordercę”. Mosby uśmiechnął się.

— Dobry pomysł. Wszystko układa się jak najlepiej dla nas, poruczniku. Pół godziny temu oddział policyjny na polecenie majora Starksa usiłował zatrzymać doktora Holdena i zastrzelił go. „Próba ucieczki”, tak to Starks nazwał. Doskonale, jeżeli się wam uda...

— Potrzebuję broni. Za jakieś... najpóźniej dwadzieścia minut muszę wejść niepostrzeżenie do Instytutu Temporalistyki, jestem pewny, że tam w tej chwili znajduje się robot.

— Możemy to zrobić. — Mosby odwrócił się i zaczął wydawać dyspozycje.

— Muszę tam wejść sam, inaczej on ucieknie. Wiem, Instytut będzie okrążony, ale on naprawdę może uciec. Proszę mi wierzyć.

— No dobrze. Coś jeszcze?

— Sądzę, że należałoby też zebrać tam dziennikarzy, od razu zrobić wokół tego rozgłos.

— Biorę to na siebie. Gdzie w tej chwili jesteście?

— Róg 342 i 1128 Alei.

— Zaraz po was przyjadą.

Ghart zapalił papierosa i stanął na krawężniku. Przechadzał się po nim nerwowo, starając się nie myśleć o Ralcie. Po dwóch minutach podjechał samochód żandarmerii.

— Ghart?

— Tak. — Wsiadł. Samochód ruszył. Jeden z żołnierzy podał mu miotacz. Ghart oparł kolbę na kolanie, sprawdził zamek, generator, przewody, w końcu magazynek. Potem odsunął i zasunął z powrotem bezpiecznik. Wóz zatrzymał się trzydzieści metrów przed Instytutem.

— Poczekaj.

Elen, to się musi udać. Będiesz mogła do mnie wrócić, skończy się to wszystko, zobaczysz, jacy będziemy szczęśliwi, Elen.

Trzask w krótkofalówce: „Osiemnaście”

— Tak.

— Możecie zaczynać, system alarmowy wyłączony.

Ghart wyskoczył z samochodu i przebiegł pod ścianami do budynku Instytutu. Wspiął się na okno, wybił szybę i wskoczył do środka.

Ciemność. Niepewnie zrobił kilka kroków. Nie chciał zapalać światła. Odbezpieczył miotacz i wyszedł na korytarz. Czekał chwilę, dopiero gdy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, ruszył przed siebie.

Elen, wróć do pracy. Oridhi też... w sumie jestem mu to winien. Jeszcze wszystko się ułoży, będziemy się dziwić, jak mogliśmy kiedyś tak żyć.

Kątem oka dostrzegł składającą się do strzału sylwetkę. Padnięcie, miotacz do ramienia... sylwetka nie porusza się. To wieszak na ubrania. Z przerażeniem zauważył, że trzęsą mu się ręce. Podniósł się. Szedł teraz przyciskając się do ściany. Schody. Starał się stąpać jak najciszej. Myślał o Elen, to mu jakoś pomagało:

Delikatnie pogładziła go po twarzy.

— Gdybyś wreszcie awansował, przenieśliśmy się do jakiegoś porządnego mieszkania. Jeździłbyś rano do pracy z teczką, a ja zostawałabym z dzieckiem, robiłabym ci obiad, prała koszule.

— Może jeszcze kiedyś tak będzie.

— Wierzysz w to? — spytała.

— Nie. — Przytuliła się do niego.

— Nauczyłam się nie wierzyć w nic oprócz tego, co widzę.

Chyba już piętnaste czy szesnaste piętro. Szelest. Gdzieś na dole. Odwrócił się powoli. Znowu szelest. Odgłos plazmowego palnika, wysoki, świdrujący. Nogi wrosnięte w ziemię. Z trudem pokonując ich drżenie powoli, potwornie powoli zaczął schodzić w dół.

— Nie przejmuj się niczym — mówiła. — Niczym. Rób zawsze to, co będzie dobre dla ciebie. Wiem, to czasem boli, ale to jedyny sposób, żeby do czegoś dojść. Myśleć tylko o sobie. Może to brzmi potwornie cynicznie, ale takie jest życie. Trzeba w nim wygrać za wszelką cenę. — Pocałowała go mocno.

Znowu korytarz. Musiał się zatrzymać. Postawił miotacz na ziemi, trzęsącą się dłonią wytarł czoło z potu. Cały był mokry. W miejscu żołądka kłęb ognia. Znowu kilkusekundowy jazgot palnika. Podniósł miotacz. Wziąć się w garść, opanować się za wszelką cenę. Przed siebie. On się nie boi, myślał. Nie będą mu się trzęsły ręce. Na pewno jest uzbrojony.

— Możesz mu pozwolić uciec. Wtedy będziesz czysty. I możesz go zabić. On w sumie nie zrobił nic złego, nic innego, niż zrobiłby jakikolwiek człowiek na jego miejscu. Chce tylko uciec. Możesz mu pozwolić. Wtedy nigdy do ciebie nie wrócę, będziesz gnął do końca życia w tej klitce, zalewał się co wieczór, żeby na chwilę zapomnieć. Potem zabraknie ci pieniędzy na wódkę, zaczniesz kraść, pić płyn do mycia szyb, perfumy, rozpuszczalniki, wszystko, w czym jest choć kropla alkoholu. Za uczciwość trzeba płacić dużą cenę. Skąd wiesz, co on by zrobił na twoim miejscu?

Zza załomu korytarza bila delikatna poświata. Skręcił tam. Głęboki wdech, drugi, trzeci. Prawie już nie mógł iść, mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa. Powoli zbliżał się do światła. Następny zakręt. Jaśniej.

— Sam mówiłeś, że trzeba być silnym — spojrzała mu w oczy. — Zabiłbyś, gdybyś mógł w ten sposób zapewnić mi szczęście?

— Nie pomyślałaś, że największej siły wymaga to, aby w takiej sytuacji nie zabić?

— Tak. Ale to nic nie daje.

Znowu zakręt. I jeszcze jeden. Otwarte drzwi, zza których bije silne światło. Jazgot palnika. Nikt nie będzie mi miał tego za złe, pomyślał. Dla ludzi najsluszniesze jest zabić go. Nikt nie będzie mi miał tego za złe.

Podszedł do drzwi. Całe szczęście, że korytarze wyłożone są dywanami tłumiącymi odgłos kroków. Podniósł miotacz, ostrożnie wychylił się zza futryny. W środku stał wysoki, barczysty blondyn pochylony nad maszyną przypominającą ogromnego przezroczystego żuka z wygodnym fotelem i tablicą rozdzielczą w brzuchu. Jeszcze jeden krok. Ralt odwrócił się gwałtownie. Twarz z folderu, tylko inny kolor włosów. Sięgnął po odłożony palnik. Kolba na biodro, spust. Huk, ognista smuga dotyka szyi robota, odrywa głowę, rozbija przezroczystego żuka. Wybuch tablica rozdzielcza. Łoskot upadającego ciała.

Ralt leżał na plecach, z rozkrzyżowanymi rękami. Urwana głowa trzymała się na pęku kabli i płacie skóry. Dużo krwi. Prawa ręka robota, leżąca o kilkanaście centymetrów od upuszczonego na ziemię palnika, podniosła się powoli, trzask wyładowania, błękitny błysk w otwartej szyi robota. Ręka opadła. Ralt bezgłośnie poruszył wargami, prawa ręka uniosła się powoli, trzask, błysk...

Ghart odetchnął. Kopnął palnik w róg pokoju. Spojrzał na leżącego. Przykro mi, stary. Odwrócił się, przetkał palcem uszy ogłuszone wybuchem. Zaczął iść szybkim krokiem, zapalając po drodze światła we wszystkich korytarzach i na schodach. Ludzie na dole słyszeli wybuch. Pod Instytut zajechały wojskowe samochody, do środka wpadały długie szeregi żołnierzy z gotową do strzału bronią.

— W porządku — powiedział im Ghart pałac papierosa. — Zabezpieczcie miejsce akcji.

W hallu na dole czekał na niego Mosby.

— W porządku — powiedział Ghart.

Mosby, uśmiechnięty szeroko, poklepał go po ramieniu.

— Za trzy–cztery godziny dotychczasowy minister bezpieczeństwa złoży na ręce prezydenta dymisję. Wcześniej jeszcze zostanie usunięty ze stanowiska i zdegradowany Starks. Wy, poruczniku, zajmiecie jego miejsce.

— Dziękuję, panie generale.

— No a teraz uśmiechnijcie się i porozmawiajcie chwilę z reporterami. Wiedzą już mniej więcej, o co chodzi. To ma być uśmiech? Szeroko, chyba jesteście zadowoleni?

— Tak. — Ghart zaśmiał się sztucznie, potem trochę bardziej naturalnie. Wyszedł przed budynek. Lampy błyskowe, mikrofony. Jakiś facet z kamerą. Pytania, jedno przez drugie. — Chwileczkę, po kolei, słucham?

— Dlaczego kontynuował pan śledztwo po oficjalnym odsunięciu pana?

— Widzi pan, każdą robotę, której się człowiek podejmuje, należy rzetelnie doprowadzić do końca.

— Czy sądzi pan, że takie przypadki jak ten mogą się powtórzyć?

— Nie wiem, ale fachowcy powinni zadbać, by do tego nie doszło. Tragedia, która się wydarzyła, spowodowana została tylko zwykłą, ludzką głupotą.

— Dlaczego oficjalne śledztwo poszło fałszywym tropem?

— Brak kompetencji, po prostu brak kompetencji.

— A czy nie uważa pan...

Sobota, 9.10–9.12

— Cześć. Gratuluję. — Oridhi był niewyspany i zdenerwowany. — Widziałeś...

— Siadaj — przerwał mu Ghart. — Zostajesz moim zastępcą, już rozmawiałem z kim trzeba. I świadkiem na ślubie. Boże, co za fart...

Oridhi skrzywił się, wciskając mu w rękę gazetę.

— Przykro mi, że ci to przynoszę.

— Co to jest?

— Zobacz. Trzecia strona, na dole.

— Wypadki?

— Drugi od dołu.

„Wczoraj o godzinie 23.40 na obwodnicy miejskiej ciężarówka firmy transportowej DXT najechała na prywatny samochód, kierowany przez inżyniera Jona Fenara. Kierowca samochodu oraz pasażerka, Elen Sana, ponieśli śmierć na miejscu”.

lipiec 1983